

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 21.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa,  $\frac{6}{18}$  lutego 1860.  
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

## TREŚĆ NUMERU.

Edward Ostrowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Józef Gołuchowski (dokonczenie). — Bal w pałacu Paca w Warszawie na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego (z drzeworytem). — Pierwsze walne posiedzenie Towarzystwa Rolniczego w Warszawie (z drzeworytem). — Bal pod względem higienicznym (dokonczenie). — Ambicja, humoreska Władysława Maleszewskiego (dalszy ciąg). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Hebdów (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

## Edward Ostrowski.

Dlaczego miłą jest rzeczą uobecniać rysy osób, których życie pełne, spływając wśród poświęceń, zjednalo nasz szacunek i przyjaźń? Spytajcie serc waszych: one wam w tym razie lepiej od nas odpowiedzą.

Zapewne zakres działalności ś. p. Edwarda Ostrowskiego nie był zbyt obszerny, powszechność ogarniający; ależ u nas, na ścieśnionej widowni, grono sumiennych pracowników tak niewielkie, że każda rzetelna acz skromna zasługa, rychły znajduje rozgłos, serdeczne przyjęcie i uznanie ogółu spotyka. Dlatego też każda strata podobnego pracownika tém żywiej nas obchodzi, tém serdeczniejszy żal rozbudza. Pisma nasze już kilkakrotnie głośiły taki żal nasz, z powodu zgonu ś. p. Ostrowskiego. Podając obecnie jego wizerunek, zdjęty w r. 1850, załączamy treściwy obraz jego krótkiego żywota.

Edward Feliks Wincenty Ostrowski urodził się d. 2 czerwca 1816 r. we wsi Pokorszach, w gubernii wileńskiej, w powiecie trockim. Po chlubnym ukończeniu gimnazjum wileńskiego w r. 1832, wszedł do b. akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej, jako uczeń nauk lekarskich, lecz w r. 1835, idąc za wewnętrznym popędem, przeszedł na kurs czysto weterynaryjny, i ten ukończył w r. 1838 ze stopniem lekarza weterynaryi. Oprócz specjalnego, posiadał wykształcenie ogólne, umysł bystry, chęć do pracy i rozszerzania swęj wiedzy niezmyśloną i wytrwałą. Obok tych przymiotów, zapowiadających w nim szermierza na polu naukowym, obdarzony sercem czułym, skłonny do poetycznych marzeń, przy wielkim hartie duszy, (który przed najbliższymi przyjaciółmi wstrzymywał go od wynurzenia swych cierpień moralnych, nierozłącznych z życiem każdego człowieka) zawsze starał się okazywać spokojnym, wesołym, a będąc w przyzwoitej mierze dowcipnym i żartobliwym, stał się w każdym towarzystwie pożądanym.

Z takimi to zasobami i z takim usposobieniem ś. p. Ostrowski przybył w r. 1839 do królestwa polskiego, gdzie rozpoczął służbę rządową w stopniu assessora weterynaryi w urzędzie lekarskim b. gubernii

mazowieckiej i kaliskiej, a obok tego urzędu od r. 1841 wciąż pełnił obowiązki dyrektora szkoły weterynaryjnej w Warszawie i profesora w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie; nadto od r. 1845 powoływany był do załatwiania czynności weterynaryjnych w Radzie lekarskiej królestwa, a następnie do egzaminowania kandydatów na stopnie naukowe weterynaryjne.

Jeżeli weźmiemy na uwagę, że obok tych wszystkich obowiązków, z natury swojej mozolnych, a wykonywanych na każdym stanowisku z rzadką energią i gorliwością, ś. p. Ostrowski częste musiał robić

Wyliczamy ważniejsze:

W r. 1845 napisał rozprawę na pozyskanie stopnia starszego lekarza weterynaryi p. n. *Zaraza płuc, czyli zapalenie płuc panujące u bydła rogatego*. W tymże roku przyjął w zarządzie służby zdrowia czynny udział w ułożeniu policyi weterynaryjnej, w obszernym tomie zawartej, które to dzieło praktycznie bardzo się stało pożytecznym. W roku następnym wydał: *O chirurgii praktyczno-weterynaryjnej*, dzieło uznane za klasyczne, i wzięte do wykładu w instytucie gospodarstwa w Marymoncie i uniwersytecie Jagiellońskim; w r. 1847 *Opisanie i leczenie influenzy czyli zarazy końskiej, pod różnemi postaciami i rozmaitemi powikłaniami*, jedyny przewodnik w tym przedmiocie. W r. 1853 ogłosił drukiem broszurkę: *O życiu i pracach swego niegdyś profesora weterynaryi w akademii wileńskiej, Mujschla*, także troczanina, gdzie podał umiejętnie skrócony obraz stanu nauk weterynaryjnych. W tymże roku napisał rozprawę: *O zarazie śledziony, czyli chorobie karbunkulowej*, i otrzymał w Radzie lekarskiej najwyższy w tym zawodzie stopień magistra nauk weterynaryjnych.

Dodajmy że pomienione i inne prace, zaraz po ogłoszeniu, stawały się powagą i obowiązującymi w kraju.

Nie wypisujemy tu rozpraw umieszczonych w pismach publicznych i kalendarzach, najprzód Strąbskiego, potem Jaworskiego i Ungra, których rzetelną stanowiły ozdobę. Nie możemy atoli pominąć milczeniem kursu dwuletniego weterynaryi gospodarskiej, wykładanego przezeń w instytucie marymonckim. Kurs ten, z całą umiejętnością opracowany, niesłychanie przyczynił się do oczyszczenia pojęć o téj ważnej w gospodarstwie wiejskiem nauce, jak niemniej do wytepienia w każdym razie szkodliwych a często zgubnych przesądów i błędów, przez konowałów szerzonych. Nader pożądaną byłoby rzeczą, ażeby kurs ten jak najprędzej mógł być ogłoszony drukiem, o czém nasz professor często myślał, i czemu tylko jego prędki wyjazd z Warszawy przeszkodził.

Ta nieustająca praca znacznie nadwątlila zdrowie ś. p. Edwarda, dla poratowania którego dwukrotnie udawał się do wód mineralnych w kraju i za granicą; jednakże i tam nie zaniedbywał zbierać skrętnie wszelkich wiadomości do swego zawodu odnoszących się, któreby mógł korzystnie zastosować w kraju, co mu nawet przez władzę poruczone zostało.

Gdy siły ciała coraz bardziej upadały, skorzystał ś. p. Ostrowski ze zrzeczności objęcia z końcem 1853 roku katedry nauk weterynaryjnych w szkole wyższej



EDWARD OSTROWSKI.

(Rysował A. Piwarski, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

wycieczki do różnych gubernij w kraju, już dla przedsięwzięcia środków zaradczych przeciw księgosuszowi, już w celu wyśledzenia przyczyn szerzenia się takowego i t. p., że wzywany był do prac, jako znawca, przez rząd wojskowy, niepomahał dziwić się nam wypada, jak mógł, przy słabych siłach fizycznych, takiemu ciężarowi podołać i jeszcze oddawać się pracom naukowym, treści ważnej, często bardzo rozległej, w przedmiocie u nas mało dotąd uprawianym.

w Charkowie, porównanej w prawach do uniwersytetów w cesarstwie, ażeby nie rozpraszać więcej swych czynności na różnorodne i wyczerpujące zatrudnienia, oddać się wyłącznie uprawie naukowej ulubionego przedmiotu swego.

Na tym nowym stanowisku, pomimo że miał do zwalczania trudności językowe, od razu zjednał sobie zupełne zaufanie zwierzchności tak iż po półrocznym dopięro pobycie, zagał akt uroczysty odpowiednią rozprawą, którą ogłoszono drukiem. W następnym zaraz roku wysłany został jako naczelnik wyprawy naukowej do stepów kirgiz-kajsackich, w celu zbadań głównych płodów natury, stanowiących źródło bytu i zamożności nomadów, tudzież odkrycia i wykazania środków, mogących wpłynąć na ich ulepszenie (\*).

Wypadki swęj podróży czysto naukowe, zawarł w oddzielnym obszernym sprawozdaniu. Na naleganie dopięro przyjaciół zebrał w jedne opowiadania, obrazujące fizyognomią zwidzanego kraju i ludów w nim zamieszkałych, i takowe wydane zostały w dwóch tomach w formie listów, o których pochlebnie wzmiankowały pisma nasze; bo też pełne są żywotnej treści, tém ważniejszej, ile że dotyczą przedmiotu prawie obcego dla nas, noszą cechę szczerzej prawdy i wolne są od przesady, orzeźwione nie w jednym miejscu wynurzeniem uczuć tkliwych, z zacnej duszy idących.

Na rok przyszły zamyślał o odbyciu drugiej podobnej wyprawy do ludów na pograniczu Cchin zamieszkałych.

Wiemy o jednej dokonanej w Charkowie pracy s. p. Ostrowskiego, w języku rossyjskim w dwóch obszernych tomach, p. t. *O tworzeniu się robaków u zwierząt*. Dzieło to, nader szczegółowe i pracowite, ukończył dopięro w połowie r. 1859; poczem udał się na wakacje do dóbr Rokitna, zarządzanych przez pana Chłopeckiego, jego ucznia z Marymontu, w gubernii kurskiej, gdzie, zamiast oddania się tak niezbędnemu i tyle zasłużonemu wypoczynkowi, rozpoczął nową pracę, a mianowicie *Terapią weterynaryjną*, której też napisał 46 arkuszy. Ale tu zgubna choroba wytrąciła mu pióro z ręki iż był wcześniej sprowadził go do grobu. Umarł dnia 24 sierpnia 1859 r. na żółtą gorączkę, pochowany na miejscowym cmentarzu.

Towarzystwa naukowe, tak w kraju jak i za granicą, oceniając znakomitą wartość prac naszego profesora, skwapliwie jedno po drugim zaliczały go w poczet swych członków. Śmiało powiedzieć możemy, że w zawodzie weterynaryjnym u nas imię Ostrowskiego przez długi czas pozostanie powagą. Jakie odkrył prawdy, jak daleko posunął naukę, zapewne w swoim miejscu opisze to pióro specjalne.

Taki był pracowity i pożyteczny żywot s. p. Edwarda, jako człowieka publicznego. Jakiemi tchnął uczuciami dla młodszego rodzeństwa, które mu po większej części dalszy swój byt zawdzięcza, nie do nas mówić należy. Prawość w postępowaniu była godłem całego życia zmarłego: ztąd przy łatwości w pożyciu, nietrudno mu było zjednywać sobie przyjaciół, a przy sumiennym i umiejętnym wykonywaniu swych obowiązków w służbie publicznej, używać zupełnego szacunku i chlubnego zaufania zwierzchników.

Tém dotkliwszą była dla nas wieść o jego zgonie, żeśmy cieszyli się nadzieją posiadania go znowu po kilku latach wśród siebie, wolnego już od prac obowiązkowych. Ale czémże są chęci ludzkie w obec niezbadanych wyroków Opatrzności! Otóż s. p. Edward, wśród marzeń o tej niedalekiej przyszłości, wśród nowych rozwijających się dopięro pomysłów naukowych, tyle ponętnych i zachęcających do życia, — umarł zdala od swoich, doznając wszakże czulej opieki tak młodego gospodarza swego, jak i pielęgnującego go w ostatnich dniach życia dawnego przyjaciela, lekarza Iwickiego.

## Kronika tygodniowa.

W przeszłym tygodniu mówiliśmy o jednym w dość dziwnych okolicznościach zawartem małżeństwie, dzisiaj wspomnimy o drugim.

(\*) Listy z podróży po stepach kirgiz-kajsackich. Przedmowa.

Przed kilkunastu laty państwo młodzi przyrzekli sobie wiarę. Ale że wówczas jeszcze możność ich majątkowa nie odpowiadała szczerzej chęci połączenia się ślubnymi więzami, postanowiono z obu stron czekać.

I narzeczony przez te kilkanaście lat urządził dom sobie. Jeden miesiąc oszczędności przynosił mu stół, drugi dwa krzesła, trzeci komodę. Na wielką szafę do bielizny dobre pół roku czekać trzeba było. Ale cierpliwość jest matką dobrego skutku. Grosz do grosza, ziarno do ziarnka, mebelki do mebelka, zbierało się to powoli, i w końcu z tych wszystkich oszczędności wyrosło wcale niezłe oporządzenie gospodarskie.

Przez ten czas narzeczona prowidowała się w wyprawę, szyła bieliznę domową, pościel, i t. d. Koniec końców, jak powiedziałem, kilkanaście lat tak przeszło, a co wieczór narzeczony odwiedzał oblubienicę, zdawali sobie sprawę z wzajemnych usiłowań, z postępu jaki uczynili, i rachowali czas przez który trzeba im będzie jeszcze pracować nad ziszczeniem życzeń.

Błoga ta chwila wypadła w bieżącym karnawale, przed kilkunastu dniami odbył się ślub, a młoda para znalazła dla siebie gniazdko zasobnie urządzone.

Mieszkancko małe ale schludne, nie brakło żadnej wygody ani porządku domowego, owszem wszystkiego obficie, o niczym nie zapomniano. Dziś pracują wspólnie, aby utrzymać to, na co z takim trudem zarobili, i przygotować się do przyjęcia nowego gościa, który kiedyś może do ich skromnego mieszkanka zawita. Mylilibyście się bardzo czytelnicy, gdybyście mnie posądzała o sfalszowanie jakich szczegółów albo przesadę w tém wydarzeniu. Najprawdziwsza to prawda, małżeństwo to istnieje, i widzieliśmy na własne oczy tych dwoje ludzi, szczęśliwych tém najwięcej może, iż sami sobie własne szczęście winni, że zaufali przyszłości, znając prawdziwie narodowe nasze przysłowie: „Dał Bóg żonę, da i na żonę.“ Że zaś w obecnych czasach tyle jest małżeństw niezupełnie szczęśliwych, że w budżecie domowym tego lub owego stała okazuje się nieraz tyle braków, deficytów, bankructw, nie jest to wcale dowodem kłamliwości powyżej przywiedzionego przysłowia. Owszem dowodziłoby to tylko że nie wszystkie żony w dzisiejszych okolicznościach pochodzą od Boga, i że nieraz czartu i owdzie w takich skojarzeniach musiał ofiarować usłużną swoją pomoc. Ale dajmy pokój temu przedmiotowi, zbyt on drażliwy dla pokornego kronikarza tygodniowego, który pragnąłby żyć w zgodzie ze wszystkimi.

Otrzymaliśmy z Lublina niektóre szczegóły o mającej się tam odbyć w dniu 3 marca r. b. uroczystości muzycznej na dochód Instytutu muzycznego warszawskiego. Wszyscy ci którzy tak pod względem artystycznym jak i naukowym, potrafi tam sobie wyższe wyrobić stanowisko, biorą udział w tej uroczystości, na której zakończenie odśpiewaną być ma przez jedną z dostojnych dam lubelskich kantata, z tekstem znanego już z prac literackich Adama Krasińskiego, a muzyką Teichmana, który niegdyś stale przebywał w Warszawie i zaszczytne pomiędzy muzykami tu tejszymi zajmował miejsce.

Kompozycya ta w duecie pomiędzy głosem sopranu a wioloncellą, z akompaniamentem fortepianu, podług zdania znawców, należy do najlepszych i najszczęśliwszych Teichmana utworów.

Rzeczywiście w tylu miejscach przygotowują się uroczystości muzyczne na korzyść Instytutu, że zatraciliśmy już rachunek; dość wiedzieć, że jeżeli te wszystkie zamiary pomyślny skutek uwieńczy, to potrzebna summa wprędce całkowicie zebrana będzie. Dowodzi to, że jeżeli kto w szlachetnym celu szczerze w ogóle naszym położy zaufanie i przekonywając do serc jego przemówić potrafi, to nigdy się nie zawiedzie, licząc na współdziałanie tegoż ogółu.

Hrabina Moniuszki budzi ciągle wielkie zajęcie, i sądząc po początkach, długi szereg takich samych powodzeń przepowiadać jej można. Podobno Moniuszko, zachęcony do pracy tém ogólnem współczuciem, rozpoczął już kompozycyą muzyki do nowego jednoaktowego libretto, napisanego przez Chęcińskiego p. t. *Verbum nobile*. Rzecz wzięta z życia domowego przodków naszych, a prowadzona bardzo zręcznie i z wielką umiejętnością sceniczną.

Pomysł utworzenia konkursu na libretto trwa ciągle, i słyszeliśmy już o kilku piętynych ofiarach na ten cel przeznaczonych. Pomiedzy innymi jakiś bezimienny nadesłał 25 rsr., a oprócz tego wpłynęło już

kilka pomniejszych kwot, nie wchodzących w zakres oznaczonej składki. Być więc może iż tym sposobem zbierze się większa summa aniżeli zapowiedziane zgóry 150 rsr., a w takim razie przewyżka obróconą zostanie na inny cel podobnego rodzaju, albo dołączoną do nagrody za najlepszy dramat oznaczyć się mającej.

O ile chętnie udzielane dary prywatne wpłynąć mogą na najprzeważniejsze nawet instytucje, dowodzi tego szybkie przed laty utworzenie akademii peszteńskiej. Prawda że na założenie tej instytucji, która tak błogi wpływ na stan literatury i nauk w Węgrzech wywarła, złożyły się takie ofiary jak hrabiego Szekeniego, który podarował akademii 60,000 złotych reńskich (240,000 złp.) gotówki, jak hrabiego Tekelego który ofiarował jej swój księgozbiór wartości 50,000 złotych reńskich (200,000 złp.), ale też akademii peszteńska wkrótce po jej założeniu była już w stanie nietylko bez obcej pomocy sama utrzymywać się ze swoich funduszy, ale nawet wyznaczać coroczne nagrody konkursowe, pensye dla literatów i t. p. Do jakiej zaś te nagrody dochodziły czasem wysokości, dowiedzie to że poecie Vorösmartemu, sekretarzowi akademii, wyznaczyła też instytucya za jego poemat na tle narodowem osnuty wynagrodzenia po dukacie za wiersh. Po śmierci zaś tego poety dla wdowy i dzieci po nim pozostałych zebrano w krótkim czasie składkę narodową wynoszącą złp. 400,000.

Co do nas, my lubimy się często rozczulać nad nie- szczęściem ludzi zasłużonych, ale opatrzenie ich biędy pozostawiamy Bogu. Nie przytaczam przykładów, każdemu bowiem same one staną na myśli. Bardzo jest chwalebna ta nieograniczona ufność w Opatrzności przedwiecznej, ale, jak to nieraz doświadczanie uczy, Bóg pomaga tym tylko którzy okazują się godnymi jego pomocy i sami radzą o sobie.

Mógłbym wam w bieżących nowin warszawskich donieść o kilku bardzo licznych i świetnych prywatnych zebraniach, ale tak podobne one jedno do drugiego, że doprawdy nie wiadomo co o nich powiedzieć. W resursie wielkiej miał miejsce w poniedziałek obiad na uczenie komitetu towarzystwa rolniczego, które już w zeszłym tygodniu ukończyło swoje obrady. Osób zebranych było 300. Raczone się wybor- nie i liczne wnoszono toasta, które huczniemi uczzone były oklaskami. Dziwiło nas tylko ogłoszenie umieszczone w pismach publicznych, że oprócz dla osób składających się na obiad i go ścizaproszonych, rozdawane będą bilety dla dam, które będą mogły z galerii przypatrywać się jedzącym. Czyżby to miał być jakiś niewinny rodzaj zemsty za tak liczne ucześnie- nie do tych górnych sfer płci niewieściej podczas ba- lów publicznych w téjże resursie wydawanych, wów- czas kiedy sala balowa bywała prawie zupełnie pu- sta? I jak nie wąpiliśmy, nie znalazła się ani jedna amatorka tego widowiska, boć sama przyzwoitość to- warzyska zakazuje patrzeć jedzącym w usta, a jak wiadomo damy nasze umieją pilnie przestrzegać za- sad przyzwoitości.

Otrzymaliśmy prospekt na mające wychodzić we Lwowie, pod redakcyą pp. Jana Zacharjasiewicza i Aleksandra Szedlera, nowe pismo tygodniowe, w zeszytach dwuarkuszowych p. n. *Kółko rodzinne*. Pię- rwszy numer wyjdzie d. 6 marca r. b. Z współpracowni- ków wymienieni: Bielowski, Kaczkowski, Małcki, Pi- lat, Pol, Supiński i Szajnocha. Daj Boże, żeby liczba czytających w Galicyi okazała się dostateczną do utrzymania i poparcia coraz nowych pism tam po- wstających, a podzielone siły niezbyt słabemi do dźwi- gnięcia ciężarów, które tak ochoczo biorą na siebie.

W ostatnim numerze Biblioteki warszawskiej czy- tamy poemacik pod tytułem: *Krótkie curriculum vi- tae Matyasza co zwan był kobeźnikiem na wilczej ustroni*. Jest to utwór bardzo młodego podobno, utar- lentowanego autora, tém wybitniejszemi przeto są przymioty formy i dykcji jakimi się ten poemacik odznacza. Jakkolwiek znać w nim jeszcze dalekie na- śladowanie Polowskich wzorów, w bardzo jednak ma- lowniczej treści przebija nierzadko odcień oryginal- ności, który zdaje się zapowiadać niemałe zdolności poetyczne. Oddawna już nie napotkaliśmy tak szcze- śliwego objawu poczynającego poety. Współczucie jakie ten utwór znalazł powinno w młodego autora wpoić przekonanie, że praca jest obowiązkiem każ- dego, któremu Bóg udzielił siły po temu, bo pierwsze powodzenie, jakkolwiek jest często wróżbą nowo ro-

dającego się talentu, mającego kiedyś zająć przeważne miejsce w literaturze ojczystej, to częściej jeszcze, zwłaszcza u nas, bywa tylko zwiastunem upadku, tém przykrzejszego, im mniej był spodziewanym.

Leż to u nas widzieliśmy talentów gasnących po pierwszym przeblasku, talentów którym zbyt dobrowolnie i zbyt ogólnie oddawane pochwały zaszkodziły. Kto z trudem i wytrwale dorabiał się należnego sobie stanowiska, kto walczył z niechęcią, zawiścią i niesłusznymi czasem zarzutami, ten potrafił już ocenić swoje siły, ale przyszedł zarazem do świadomości, że tylko ciągła i wytrwała praca potrafi je znaleźć i do pożądanego doprowadzić celu. Ci zaś których współczucie ogółu otaczało u wstępu, zaślepieni tém współczuciem, sądzili się nieraz u kresu swojego zawodu, kiedy im zaledwie dano było pierwsze w nim postawić kroki. Zasyпали na laurach, zaś pominali o sobie, a zwykłym następstwem i ogół wprędce zapominał o nich. Nazwisk nie przytaczamy, bo każdy z czytających mógłby je sobie naprędce wymienić. Podczas gdy w innych krajach, w Anglii i Francji naprzykład, pierwsze powodzenie bywa tylko wróżbą i zachętą do wytrwania na tej drodze i dalszych postępów, u nas często działo się zupełnie przeciwnie. A to nietylko w literaturze i sztukach ten fakt dał nam się zauważyć, nieraz i w zwykłych okolicznościach życia miewał on miejsce. Niestety, brak umiarkowania w szczęściu, brak energii w przeciwnościach, oto ogólne cechy szczepu naszego, i niejedną już klęskę sprowadziły one tak na ogół, jak i na szczegóły.

O innym młodym talencie, pod szczęśliwą wróżbą narodzonym, należy nam donieść, a jest nim pan Józefowicz, autor komedyi *Po naszymu*, która wzięła accessit na konkursie hr. Starzeńskiego, rozszukanym w dniu 11 b. m. Więrsz gładki, zgrabny układ, nie mała zdolność komiczna i wiele miejsc prawdziwie poetycznych, odznaczają ten utwór, który, oile sądziemy, z powodzeniem przedstawiony być może na scenie. Wszystkie te zalety tém wyższego nabierają znaczenia, że autor *Po naszymu* zaledwie dwadzieścia parę lat liczy, ma więc wielki czas, najpiękniejszą porę życia ludzkiego przed sobą; inni w jego wieku pierwsze niepewne zaledwie stawiali kroki w tym zawodzie, który on tak świetnie rozpoczął. Już na konkursie Żółkowskiego obrazek dramatyczny p. Józefowicza pod tytułem *Panie kochanku* zyskał kilka pochwał; przez pół roku postęp wielki, nie do uwierzenia prawie, daj Boże żeby tak dalej było.

Z koniecznej powinności sprawozdawczej wymienić także musimy autora, który otrzymał pierwszą nagrodę na tym konkursie, a jest nim najpokorniejszy wasz sługa i kronikarz,

Wacław Szymanowski.

## Józef Gołuchowski.

(Dokończenie.)

Z krótkim pobytom w Wilnie kończy się publiczny zawód naszego filozofa, a zarazem ta epoka jego życia, o której zawsze mówił z największym rozrzewniem. Z Wilna on wywiózł tę miłość dla młodzieży, która była jednym z najwydatniejszych i najpiękniejszych rysów jego charakteru. Zawsze kilku wychowawców Instytutu agronomicznego w Marymoncie przebywało w Garbaczu na praktyce, a wszystkie wolne od zatrudnień chwile, Józef Gołuchowski im poświęcał. Nauki dawane umiał zaprawiać wesołym żartem i attyką solą dowcipu, a czynami dając wzór z siebie, jedną zarazem serca i poszanowanie dla siebie nakazywał.

Takim sposobem, oderwany od życia publicznego, przeniósłszy się na wieś i poświęciwszy się rolnictwu, nie przestawał wywierać wpływu przynajmniej na bliżej go otaczających, którzy znów wyniesione nauki po całym kraju roznosili.

Od 1846 r. do śmierci jego, nastąpionej w dniu 22 listopada 1858 r., Józef Gołuchowski stale mieszkał w Garbaczu. Konieczna tylko potrzeba, najczęściej chęć niesienia pomocy sąsiadom, zarówno znajomym jak nieznanym, skłaniała go do opuszczenia wiejskiego zacisza, gdzie prace i trudy osładzała mu ukochana żona, Magdalena z Gołuchowskich Gołuchowska, którą w 1830 r., wówczas wdowę po młodszym swoim bracie Leopoldzie, poślubił. Wyjeżdżał też kilkakrotnie za granicę do Pruss, Fran-

cyi, Anglii i Hollandyi, wiedziony nie powszechną u nas manią podróżowania, ale pragnieniem nabycia wiadomości koniecznych w nowym jego zawodzie. W jednej z tych wycieczek w 1846 r. spotkawszy się z Schellingiem w Berlinie, na cześć tego znakomitego męża w dzień jego urodzin dał ucztę, na której miał mowę w języku niemieckim i drukiem ją następnie ogłosił. W mowie tej kręśli pierwsze zarysy systematu, które następnie rozwinął w nieśmiertelnym swoim dziele: *Dumania nad najwyższymi zagadnieniami człowieka*. pozostawionem w rękopiśmie i zaledwie na parę lat przed śmiercią napisanem.

Do prac filozoficznych jego z tej samej epoki należy jeszcze list do Fr. Morawskiego: *O wierze i wiedzy*, z powodu polemiki pomiędzy wychodzącymi wówczas pismami peryodycznymi, *Przeglądem naukowym* i *Pielgrzymem* napisany, a następnie w Bibliotece Warszawskiej wydrukowany.

Obrazem jego sposobu zapatrywania się na stosunki towarzyskie jest znakomita rozprawa *Światowość*, w *Wiążance* Pauliny z L. Wilkońskiej, w *Czasie* krakowskim i w osobnych odbitkach drukowana. Nieprzyjaciel zbyt, w wymownych słowach kręśli wpływ tej nieszczęśliwej kraju naszego choroby i wskazuje właściwą drogę postępowania. Kobiętom naszym polecamy szczególnie tę książeczkę, której urok stanowi głębokie przekonanie, a surowe nauki odziane są w pociągającą szatę jasnego i barwnego stylu.

Józef Gołuchowski nie był rolnikiem z zamiłowania; silne tylko uczucie obowiązku, że w jakichkolwiek warunkach, człowiek powinien walczyć z trudnościami, było mu przewodnią gwiazdą, za którą szedł śmiało, ani materyalnemi przeszkodami, ani zniechęceniem moralnem nie dając się sprowadzić z drogi. Rozpocząwszy zawód gospodarczy z książką w ręku, nie wsparty z razu doświadczeniem, które nieraz bardzo drogo okupywać mu przychodziło, nie tylko że zrównał się w krótkim czasie z najzawołanyszami gospodarzami w naszym kraju, ale wielu z nich prześcignął, tak iż się do niego po radę udawali i na niego, jako na godny naśladowania przykład się zapatrywali.

Śledząc pilnie i stosując do miejscowych potrzeb; jak to już wyżej powiedzieliśmy, postępy nauk w ścisłym związku z gospodarstwem wiejskim zostających, starając się powiększyć urodzajność ziemi, nie mógł pominąć tych, którzy wraz z niem ziemię tę potem czoła swego skrapiali. Jednocześnie też i duch czasu; do radykalnych zmian społecznych dążący, musiał badawczy jego umysł zwrócić ku pilnemu rozpatrzeniu się w dawnych i tworzących się pod wpływem nowoczesnych wyobrażeń stosunkach pomiędzy właścicielem wiejskim a jego poddanymi. Patryarchalna opieka dworu zmieniła dawny swój charakter; rodzicielska niejako miłość z jednej strony, przywiązanie, posłuszeństwo i zaufanie synowskie z drugiej, wygasły; moralne węzły stargały się pod naciskiem okoliczności, które wykazywać tutaj byłoby zbyt cennym.

Stanęły naprzeciw siebie tylko dwa przeciwne interesy, które pogodzić, właściwy nadając im kierunek, stało się obowiązkiem każdego zacnego i myślącego obywatela kraju. W obec to tych nowych potrzeb i wymagań, z ducha naszego czasu naturalnie wypływających, Gołuchowski nie mógł zostać obojętnym, i przewidując przyszłość z przenikliwością wyższym umysłem właściwą, najprzód w *Kwestyi włosciańskiej*, a następnie w *Rozbiorze kwestyi włosciańskiej*, uznając że prądowi nowych wyobrażeń dłużej już oprzeć się niepodobna, z głęboką znajomością rzeczywistych usposobień, prawdziwych interesów i urojonych pretensyj stron obudwu, pierwszy u nas wystąpił ze wskazaniem środków użycia ku powszechnemu dobru tych usposobień, zaspokojenia tych interesów i postawienia w właściwym świetle tych pretensyj, które wzrastając, z czasem mogłyby się we wzajemną nienawiść wyrodzić i nieobliczone za sobą następstwa pociągnąć. Największą zasługą w tym razie Gołuchowskiego było to, że pierwszy wystąpił i utorował innym drogę, że do zastanowienia się i dyskusji pobudził i niejako zaklął groźne widmo klęsk przyszłych. Dzieła o których mówimy, stały się punktem wyjścia dla tych wszystkich, którzy w ślad za nim postępując, badaniom w tym kierunku się poświęcili. Lecz obok praktycznej strony, *Kwestya włosciańska*, a bardziej jeszcze jej *Rozbiór*, w którym obszerniej rozwinął pomysły w pierwszym dziele rzu-

cone, tchnie duchem chrześcijańskiej filozofii, odznacza się wyższym poglądem na moralny stan naszego społeczeństwa, wnika w najtajemniejsze zakątki serc naszych, odsłania krwawe rany które zagoić należy, cierpienia i bóle które ukoić potrzeba. Historya posłużyła mu za tło, na którym przedstawiony przez niego obraz wyszedł z mglistej krainy teorii i stał się rzeczywistością, a filozofia, nie przestając na praktycznych półśrodkach, wskazała jak do samego źródła złego dotrzeć i w zarodzie je stłumić.

To cośmy dotąd o Józefie Gołuchowskim powiedzieli, wyliczając jego prace jako człowieka, rolnika, filozofa, obywatela kraju, jedna mu już prawo do czci powszechniej. Na lat przecież parę przed zgonem, jakby wiedziony przecuciem, zabrał się do dzieła, mającego być ostatnim wyrazem jego myśli. Z silną wolą, z wytrwaniem godnym takiej sprawy, pisząc dnie całe i noce, w *Dumaniach nad najwyższymi zagadnieniami człowieka*, o których wyżej już napomknęliśmy, streścił rezultaty umysłowej pracy całego swojego życia.

Dzieło to, zostające dotąd w rękopiśmie, nie wiemy jak prędko wyjdzie na widok publiczny. Jeżeli nie ze wszystkiem przystępnem będzie dla ogółu, miłośnicy nauk poważnych przyjmą je zapewne z radością i ocenią tak jak na to zasługuje. Zbyt szczupły zakres naszego pisma nie pozwala nam wdawać się w szczegóły, które, żeby zrozumianemi zostały, potrzebują dostatecznego rozwinięcia i obszernego przedstawienia. Powiemy zatem to tylko, co prawdziwą myśl autora wskaże, i co zachęciłyby mogło do czytania i studyowania jego dzieła, skoro druk przystępnem je dla wszystkich uczyni.

A najprzód nie jest to dzieło intuicji i natchnienia, ale głębokiego namysłu. Wiele lat bacznego zastanawiania się, pilne śledzenie prac najznakomitszych filozofów, głęboka znajomość świata i ludzkości, wcielenie się w ducha historii, oto podstawy na których Józef Gołuchowski wznosił rusztowanie swego systematu. Schelling, ukochany mistrz i przyjaciel, jest mu wszędzie przewodnikiem, chociaż ślepo za jego nie postępuje śladami. Pierwszy tom *Duman J. Gołuchowski* poświęca wyłącznie krytyce i historii, przebiegając koleją systemata Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla. Kryjąc się po za wielkimi cieniami które wyprowadza, sam ściśle stara się zachować w roli sprawozdawcy, pragnąc przedewszystkiem obznajmić czytelników z zasadami i pojęciami, w dalszym ciągu posłużyć mającemi do wyjaśnienia i wydawnienia własnych jego pomysłów. Tym sposobem w pierwszym tym tomie znajdujemy obraz dokładny systematów przez nas wspomnianych, bez obcych przymieszek i komentarzy. Jakkolwiek filozofia niemiecka nader szczupłe liczy grono zwolenników, na całe zastępy nieprzyjaciół, z których trzy czwarte, jeżeli nie dziewięć dziesiątych, wie zaledwie o co chodzi i z wymarzonemi przez siebie widmami donkiszotowską prowadzi wojnę, — pomimo tego wszystkiego, sądzimy, żadnemu myślącemu człowiekowi nie będą obojętnymi te dzieje myśli ludzkiej, która im częściej sięga tam gdzie wzrok nie sięga, tém bliższą jest tego z którego wzięła początek.

Jak po szczeblach jakubowej drabiny, po stopniowaniach jestestw natury filozof nasz dochodzi do człowieka i Boga, określając ich wzajemny do siebie stosunek.

Zadalekobyśmy zająć musieli, gdyby nam krok za krokiem w ślad za filozofem naszym pójsz przyszło; wskażemy więc tylko jaki według niego węzeł łączy naturę Boga i człowieka: węzłem tym jest miłość, ta miłość, „która sama czyni lekką wszelaką ciężkość, a zarówno znosi wszelkie życia tego niedostatki,“ ta miłość nad którą „nie ma nic ważniejszego, nic wyższego, nic rozleglejszego, nic wdzięczniejszego, nic zupełniejszego, nic lepszego na ziemi i niebie.“ (Tomasz a Kempis: O dziwnych skutkach miłości).

Jeżeli zaciekawienie się myśli do takich doprowadzić ma rezultatów, jeżeli, zamiast zwątpienia i zniechęcenia, obudzić ma nadzieję i ufność, jeżeli zagrzewa do miłości obietnicą urzeczywistnienia królestwa bożego na ziemi, jeżeli zachęca do życia, wśród którego jest lampą rozświecającą cienie otaczające nas dokoła, — czyż godzi się powiedzieć, że rozum ograniczony i słaby czołgać się tylko po utartych drogach powinien, tarzać w prochu, z którego człowiek powstał, ażeby znowu w proch się obrócić?

Być może iż niezadługo ostatnie dzieło Józefa Go-

łuchowskiego ujrzy światło dzienne, a za szczęśliwychbyśmy się uważali, gdyby te kilka słów pobieżnych stać się mogło zachętą do czytania i rozważania tego owocu trzydziestoletniej pracy myśli człowieka, którego imienia ze czcią, poszanowaniem i sprawiedliwą dumą ziomkowie wspominają przez długie lata nie przestaną.

BAL W PAŁACU PACA W WARSZAWIE  
NA RZECZ  
INSTYTUTU MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO.

Bal ten, jak wiadomo, wydany został na zwiększenie funduszu Instytutu muzycznego warszawskiego. Osób na nim było 600, ale biletów rozprzedanych przeszło 1200, tak iż dochód ogólny z balu blisko 15,000 złp. przyniósł. Jak zaś ogólne budziła zajęcie główna myśl która przewodniczyła tej zabawie, dowodzi tego fakt, podany już przez gazety, że pan Lewandowski, dyrektor orkiestry balowej, w imieniu swoim i wszystkich członków tej orkiestry, zrzekł się należnego i zapewnionego już wynagrodzenia. Jest to może jedna z najserdeczniejszych ofiar, jakie dotychczas mający się wzniesić instytut otrzymał, ofiara zarobku dziennego, grosz wdowi od trzydziestu pięciu muzyków, z których niejednemu może ten dar sporą stratę w budżecie dochodowym wyrządził.

Bal był świetny i ożywny, chociaż obszerność lokalu sprawiła, że nie było wielkiego tłoku, tak pożądanego nieraz, lubo częstokroć przeszkadzającego zabawie. Zauważaliśmy na tym balu dwa dość ważne towarzyskie zjawiska: pierwsze, że tualety dam były względnie bardzo skromne, w czem szanowne gospodynie balu chwalebny i zbawienny dały z siebie przykład; drugie, że prawie nie było tam tańców wirujących i zawrotowych, jako to walców, polek, ale polonez, kadryle, mazury stanowiły główne tło zabawy balowej. Co do pierwszego nie śmiemy pochlebiać sobie, żeby wyrzekania przeciwko zbytkom, tak często dzisiaj w pismach naszych publicznych pojawiające się, zbawienny ten wpływ wywarły. To jednak pewna, że potrzeba reformy w tym względzie co-

raz dotkliwiej czuć się daje, życie bowiem miejskie, a w szczególności powierzchowne jego przybory, na tak wysoką nastrojone są stopę, że w naszym względnie ubogim kraju, dłuższe potrwanie takiego stanu rzeczy zagrażałoby ogólnem bankructwem. Słusznem więc jest, żeby te które mają najwięcej praw do tego zbytkowego życia, a najmniej są zagrożone jego skutkami, robiły pierwsze dla dobrego przykładu ofiarę ze swoich usposobień, nawyknień i przywilejów, jakie im wysokie położenie towarzyskie i możność majątkowa nadają. Niestety, na naśladowictwo każdy wyrzeka, a naśladowictwo jest wadą ogólną; bo czémże jest moda, jeżeli nie prostem naśladowictwem, któremu mimowolnie wszystkie prawie podlegają ko-

bięty? Niech skromność ubioru i mierna wystawność życia staną się modnemi, a ręczymy że przyjdzie do tego, że mężowie będą musieli prosić się żon o robienie wydatków. Żarty na bok, ale w każdym razie fakt powyższy, przez nas zanotowany, dobrze wróży.

Co do drugiego, wyznajemy szczerze, że nie jesteśmy gorącymi stronnikami tych wszystkich zamorskich walców i polek, (bo ten ostatni taniec, pomimo swego nazwania, nie jest wcale polskim), które dopiero dziewiętnasty wiek i zmiana poważnego narodowego ubioru wprowadziły u nas w użycie. Nie wiemy dłaczego, ale dziwnym objawem naszych obyczajów wydają nam się te tańce, w których obcy człowiek, jawiąc się po pierwszy raz przed młodą panią, którejby w zwyczajnych życia okolicznościach ręki mo-

że całą książkę mu poświęcił? I nie wiemy dla czego jeszcze, ale walce i polki wydają nam się jak gdyby współnikami przepychu i zbytku, podczas kiedy zamiłowanie w dawnych tańcach, pobudziłoby, sądzimy, zwrot do prostoty i skromnego obyczaju przodków naszych. Jedno z drugiem jest jakby solidarne. Niech więc tam sobie Wiedeń i Paryż po swojemu skaczą, a my wróćmy raczej do dawnego krzesania z podków; może która z isker tym sposobem się wydobywających i do serc nam wpadnie. Nieraz forma ściśle trzyma się ducha, i nawzajem.

PIÉRSZE WALNE POSIEDZENIE TOW. ROL.

W WARSZAWIE.

Doroczny zjazd członków Towarzystwa rolniczego liczniejszym był niż w latach poprzednich, już to z powodu zapowiedzianych narad nad oczyszczaniem włościan, już dla wyboru częściowego Komitetu Towarzystwa. Piérwsze posiedzenie plenarne, poprzedzone nabożeństwem w kościele pp. Wizytek przez ks. biskupa Dekerta, w obec arcybiskupa Fijałkowskiego, wysokich urzędników i licznie zgromadzonych członków Towarzystwa, odbyło się w pięknej i obszernej sali balowej pałacu Namiestnikowskiego, na drzeworycie naszym wyobrażonej. Czcigodny prezes Tow., hr. Andrzej Zamojski, w przemówieniu zagajającym to posiedzenie, powitałszy zgromadzonych w ogóle, a w szczególności reprezentantów Towarzystw rolniczych krakowskiego i lwowskiego, wskazał na dobroczynny wpływ Towarzystwa w żywszym popędzie do pracy i nauki wykazujący się, i trafnie nazwał Towarzystwo spółką rodzinną, dla dobra kochanego kraju zawiązaną, a jako taką, prawdziwie opatrzynym wypadkiem. Dziękował korrespondentom okręgowym za gorliwe ich współdziałanie, wspominał o pożytecznych próbach konkursów okręgowych, o uroczystem rozdaniu nagród włościanom, oficyalistom i sługom, o zabiegach w celu urządzania ochronek, o czynnej i zbawienniej pomocy duchowieństwa we wszystkich tych pracach. Dalej zwrócił uwagę na ważność traktować się mającej, z łaskawego dozwolenia Monarchy, sprawy oczyszczania. „Oburącz, mówił,



SALA BALOWA W PAŁACU PACA.  
(Rysował Kostrzewski, rytował Styfi w Warszawie.)

że nie śmiał dotknąć, ujmuje ją za kibić, i wraz z nią puszcza się w wir balowy, odosobniony od innych w tém upajającym sam na sam, oko w oko, dłoń w dłoń. Szczególniej polka, tak jak ją teraz rozumieją, ten taniec pomiatający damą na wszystkie strony salonu, zmuszający ją do czynienia najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych nieraz zwrotów, ta polka, ze względu na ścisłą przyzwoitość światową, zawsze nam się wydawała wstrętną. Znamy matki, które skarżą się nieraz na to zbytne ożywienie nowomodnych tańców. A cóż może pod tym względem iść w porównanie z naszym wspaniałym mazurem, który tak uroczyste uczynił wrażenie na Liszcie, (znającym się niewątpliwie lepiej od innych na pięknościach plastycznych),

chwytać powinien człowiek każdą sposobność do pracy pożytecznej — i obecne zadanie policzył do tych, które w ciągłym postępie i przekształcaniu się społeczeństw sam Bóg stawia, a wszyscy do ich pomysłnego rozwiązania przyczynić się winni. Nie ma być atoli przekształcenie to zupełnem zerwaniem z przeszłością, bo tej zabytki niepożyte, zawsze do nowego budowania służyć muszą. Rozwaga więc, poszanowanie tradycji, dojrzałe pojęcie o Boskim układzie świata, doświadczenie własne i obce, trafne ocenienie miejscowych potrzeb, wraz ze zdrowymi zasadami nauki, kierować winny nami w obmyśleniu środków przeprowadzić się mającej zmiany. Z dobrowolnej ugody zmiana ta stosunków

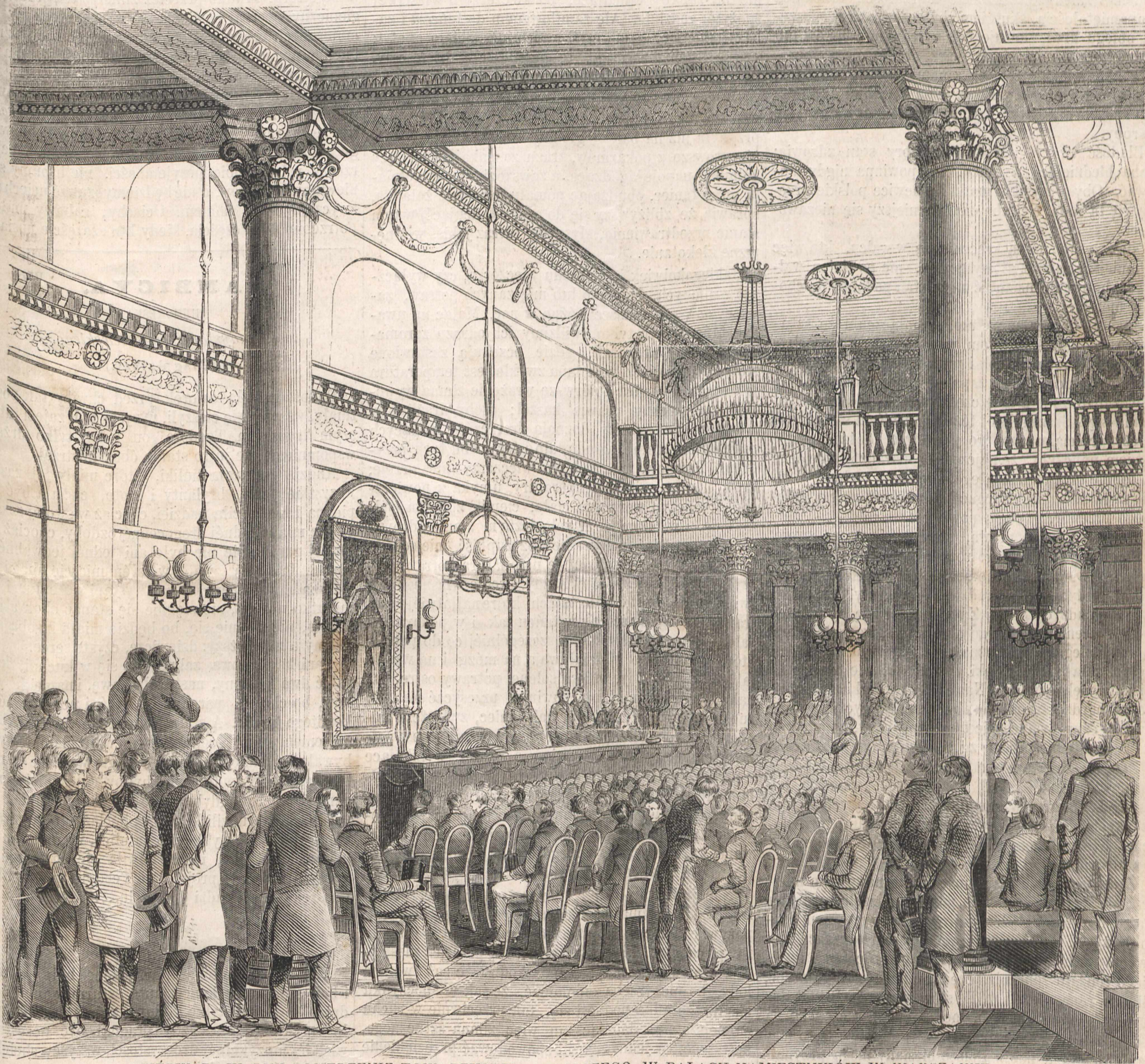
sielskich ma wypłynąć: dajmyż więc włościanom dowód naszej dobrej woli, naszej troskliwości o ich przyszłość. Mamy ich wyprowadzić na drogę, po której idąc mogliby z czasem zapewnić sobie wszelkie korzyści niezależnego położenia. Ważnym do tego środkiem jest stowarzyszenie, mogące zastąpić dawne węzły społeczne i opiekę dworów; ale stowarzyszenie niekrepujące indywidualność w ich osobistej samodzielności i trybie gospodarowania. W stowarzyszeniach jest lekarstwo na te wszystkie dolegliwości, jakie z rozerwania dawnych korporacji wynikły, i Europa powszechnie dziś do tego lekarstwa się udaje. I my więc w układach z włościanami winniśmy położyć podstawę stowarzyszeń między osi-

i prezesów sekcji, a zaraz potem odczytanie obszernego sprawozdania z czynności komitetu za r. 1859 przez członka komitetu Goltza, projektu do etatu wydatków Towarzystwa w r. 1860 przez członka komitetu Węgleńskiego, i projektu przepisów wyboru i czynności delegacji przez ogólne zebranie Towarzystwa wyznaczyć się mających, przez członka komitetu Adolfa Kurtza.

Na tém pierwsze to posiedzenie zostało zakończone.

jący z grubych przesądów, będących mieszaniną głupstwa i fanatyzmu religijnego. Natura też, mszcząc się wyrządzonej sobie niesprawiedliwości, pozbawia je przed czasem pięknych włosów, osłabia i garbowaci paznogie, a za róz odbiera zęby i przez usta wypycha woń zepsutą.

Ale pod względem moralnym żądza przypodobania się i piękności nierównie straszniejsze wywiera szkody! Mało jest kobiet, coby bez tajonej zazdrości poklaskiwały rywalkom w urodzie, sztuce przypodobania się lub talentach, a zazdrość ta, jeżeli dojdzie do wysokiego stopnia, zamienia się w nienawiść, pobudza do zbrodni i wyradza okrucieństwa. Bez wątpienia nie tyczy się to dusz szlachetnych, umysłów



PIERWSZE WALNE POSIEDZENIE TOWARZYSTWA ROLNICZEGO, W PAŁACU NAMIESTNIKÓW W WARSZAWIE.

(Rysowali Ceglinski i Pillati, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

### BAL POD WZGLĘDEM HYGIENICZNYM.

(Wyciątek z niewydanego rękopisu Dra K. Gregorowicza.)

(Dokończenie.)

Wszystkie te i tym podobne środki, naprowadzają na drogę błędu i grzechu. Róż na twarzy panny czy mężatki, jest patentem fałszu, który nikogo uczciwego nie zhołduje, a jeżeli znajdują się czciciele fałszywych wdzięków, to niezawodnie pod tą obłudną maską ich uwielbienia inne ukrywają się zamiary. Na Wschodzie wszystkie kobiety różują się, farbują włosy i paznogie; jest to zwyczaj narodowy, wpływa-

wzniosłych, oświeconych czystymi zasadami nauki chrześcijańskiej, lecz są kobiety w których namiętności nie mają granic. Detrika, żona Teodoberta, jednego z pierwszych królów Francji, nie kazała utopić własnej córki, z zawiści że ta od niej była ładniejszą? Głowa Maryi Stuart nigdyby nie spadła na szafocie, gdyby jej kibić miała jakąkolwiek niedoskonałość. Ale odwróćmy oczy od smutnego widoku zbrodni, wywołanych przez zazdrość i zawiść, a wyrodzonych z żądzy podobania się i piękności.

Przepisy higieniczne, godzące wszelkie zabawy, a szczególnej tańczące, ze zdrowiem, są proste i łatwe do zachowania. Do matek głównie należy czuwanie nad zdrowiem swych dzieci, bo zdrowie jest naj-

dnikami każdej gromady. Następnie wspomniał hr. Zamoyski, iż proponowane dziś oczynszowanie nie jest u nas nowością; już w wieku przeszłym troskliwi o dobro kraju mężowie przeprowadzać je zaczęli; dziś trzecia część włościan prywatnych w nowy ten przeszedł stosunek. — Wyraził w końcu ufność w pomysły rezultat narad zgromadzenia, a ostatnie jego wyrazy były: Bóg nam pomoże.

Poczem ks. arcybiskup Fijałkowski krótkimi lecz serdecznymi słowy podniósł ważność prac Towarzystwa i zasługi jego prezesa i uroczyście otwierającym się naradom pobłogosławił.

Nastąpiło ogłoszenie składu biura prezydyalnego

droższym skarbem życia, a życie, ten dar Boży, jest nieustannym ruchem, ono objawia nam wieczną przytomność Boga w czasie, przestrzeni i duchu naszym; można więc nie dbać o życie i nie szanować zdrowia?

Do matek to higiena podnosi głos błagający, aby ich oczy w każdej chwili i na każdym miejscu zwrócone były w stronę, gdzie ich dziatwa oddana zabawie może zapomnieć się i jednym nierozważnym czynem zepsuć zdrowie na długo, a często na zawsze. Zalecać należy umiarkowanie w tańcu, bo zbyt silne wysilenie pobudza nadzwyczajnie bieg krwi we wszystkich naczyniach, a pobudzenie to nieprawidłowe, jest najzgroźniejsze dla młodych panienek, już z natury swojej drażliwszych od mężczyzn. Często młoda panienka za ledwie w kwiecie dojrzałości, tańcząc z zapamiętałością, skutkiem zbyt silnego przyspieszenia obiegu krwi, uczuje ból w jednym z boków lub w piersiach; lękając się przecież, aby jej nie wyłączo- no z zabawy, którą rada z namiętnością podzielać, zataja cierpienie, uważając je za chwilowe, i nieraz tym sposobem nabywa zarodu szybko rozwijającej się choroby.

Bladość twarzy zdradza niedobry stan zdrowia; osoba bledniejąca w tańcu, nie powinna nigdy tańcować. Oby wszystkie matki i dziewczęta polskie przejęły się tą radą, a liczba ofiar zmniejszy się niezawodnie!

Niewszyscy znoszą kręcenie się w walcu, kto więc najmniejszy zawrót głowy uczuje, nie powinien walcować, bo rychło nastąpić może stan podobny do choroby morskiej.

Suche i gorące powietrze, w połączeniu ze sztucznym, rześnistym światłem, wywiera szkodliwy wpływ na oczy, bo rażąc wzrok i wysuszając torki łzawo łatwo spowodować może zapalenie, a wiadomo że choroby zapalne mają nieszczęśliwą własność powtarzania się. Szczególniej też przy wyjściu strzedz się należy przeciągu zimnego powietrza, doświadczenie bowiem nauczyło, że najczęściej sparaliżowanie oczu następuje skutkiem nagłego oziębienia tychże. W zimie zwłaszcza przestrzegać i chronić się należy chłodnego przewiewu (cugu) powietrza.

Moda ma swoje prawa, ale i higiena ma swoje, należy więc do zdrowego rozsądku uczynić dobry wybór między prawami mody. Kobiety wieleby na tym zyskały, gdyby więcej radziły się higieny, jak zwierciadła i cudzych oczu. Za zasadę przyjąćby należało odrzucenie wszelkiego ubrania, które w jakibądź sposób dolega. Jak można tańczyć, jeżeli krój sukni nie pozwala podnieść ręki, jeżeli szczupłe trzewiczki ściskają piękną nóżkę. Nawet i rękawiczki zbyt obcisłe są bardzo szkodliwe, bo tamują zwyczajny bieg krwi. O sznurówkach nie tu nie powiemy, poprzednio już bowiem objaśniliśmy zgubny ich wpływ na zdrowie.

Zabawy zbiorowe nie ograniczają się na tańcach, rozmowach mniej więcej zajmujących, uczonych, lub nudnych, na grze w karty; w przepłatających je spoczynkach posila się towarzystwo napojami i żywnością. Kto zmęczony tańcem, potrzebuje napoju, komu głód dokucza, pragnie karmi.

Ządania napoju i żywności są tu na swoim miejscu; ale zastoso- wanie tych posiłków, jeżeli jest nader ważnym pod względem zdrowia w zwyczajnym sposobie życia, to nierównie ważniejszym w razach niezwykłych, jakimi są bale, zabawy tańcujące i wszelkiego rodzaju zebrania, przeciągające się długo w noc; albo do rana. Jeżeli wedle słów uczonego Brillat Savarin (Fizjologia smaku, medytacja 3, część 21), na biesiadach urzędowych, rozstrzygają się często losy narodów, to u nas w Polsce biesiady mogą przynajmniej nadwzględnie zdrowie, rozumie się, gdy nie przewodniczy im umiarkowanie.

Dzięki Opatrzności, obdarzającej zawsze nasz naród zdrowym rozumem, tak źle już u nas nie jest obecnie.

Pojęcia starożytnych filozofów, wcale były różne od dzisiejszych; dlatego żaden z mędrców nowożytnych (z wyjątkiem chyba gdzie w Chinach) nie uzna za słuszną zasadę Plutarcha, utrzymującego „że biesiady łączą towarzystwo, że są podstawą rolnictwa i sztuk pięknych, przyrodzonym źródłem rozkoszy.“

U nas przynajmniej jest inaczej.

Towarzystwo rolnicze, jako najpoważniejsze zgromadzenie krajowe, dało przykład w licznych posiedzeniach swoich, że prace około dobra ogólnego mogą i powinny obejść się bez wszelkiego stuku, huku i puku. Bale skromne, biesiady ciche i rzadkie, oto

w tych czasach filozofia obywateli naszych; jakże ona odbiegła od Plutarcha!

Biada zawsze człowiekowi, u którego zmysłowość mieszka jakby na pierwszym piętrze, a duch na drugiem lub na dole!

Alé wróćmy do przedmiotu wyłącznie nas zajmującego, do pokarmów, do napojów, do chłodników balowych. Filozofia medycyny zaleca jeść i pić, stosownie do głodu lub pragnienia.

Otóż każdy człowiek od wieku dojrzałości, aż do schyłku wieku męskiego, potrzebuje pożywienia tylko dwa razy w 24 godzinach, wyłączając rano herbatę lub kawę. Bale rozpoczynają się późno w noc, zatem życzyby należało, aby przyjęto za zasadę przybywanie na zabawy tańcujące, po wieczery o właściwej spożytej godzinie. Ale zamiłowaniem do tańców i zabaw kobietom, sama myśl o nich już odbiera apetyt; często jeżeli nie suszą, to przepuszczają dzień cały, i głodniuteńkie, ściśnięte poczynają hasać!

Taniec, jak to mówiliśmy, męczy, więc głód objawia się nie w czasie, zwłaszcza że osoba tańcząca przybyła już na bal — głodną. Ciasta i cukry, najniezdrowsze z pokarmów, zrazu zaspakajają łaknący żołądek; napoje łagodzące, a zawsze zimne, wypełniają go, a taniec, obudzając pomału działanie żołądka, sprawia że zbliżywszy się do osoby tańczącej w tym stanie przedtrawienia, słyszymy nieraz jakieś wewnętrzne klekotanie.

Jakiegokolwiek jest składu wieczera, czy wyłącznie z zimnych, ciepłych lub mieszanych potraw, zawsze ona ma miejsce późno w noc. Mając na uwadze tańczących tylko, widzimy ich odrazu zgromadzonych w jadalniach, gdzie oczekują zastawione stoły. W pokojach tych inna zwykle jest temperatura jak w sali do tańca; pierwsze wrażenie zimna wywołuje powszechny prawie kaszel; osoby drażliwsze, a szczególnie kobiety, doznają dreszczów, mogących pochodzić z zimna, głodu, albo też z obu tych przyczyn. Rozmowa na wstępie wieczery nie grzeje; krew nagłą zmianą temperatury umyka z powierzchni i kończyn wewnątrz ciała; ciepłik żołądka podnosi się, i w takim to fizjologicznym stanie zdrowia rozpoczyna się spożywanie. Szczupłość miejsca nie pozwala nam rozszerzać się nad naturą potraw; życzyć jednak należy, aby każdy, wedle własnego doświadczenia, brał się do takich, które najłatwiej przetrawia. W ogólności jak w tańcu tak i w pokarmach zaleca się umiarkowanie, a szczególnie co do potraw które wyjątkowo oddziałują na mózg i na wzrok, jakimi są wędliny, mięsa solone, potrawy ostre, bakalie, które nikt nie powinien przesycić się. Po ruchu tak niezwykłym jak taniec, zwłaszcza kilkogodzinny, posiłek umiarkowany i dobrany jest najzabawniejszy dla zdrowia, a straty wynikające z utrudzenia, właściwą żywnością i spoczynkiem rychło się wynagradzają. Wieczera wszakże trwać powinna najmniej trzy godziny, jeżeli tańce mają na nowo rozpocząć się; inaczej trawienie zostanie przerwane, i zamiast zabawnego skutku posiłku, zabawa i żywność zaszkodzą zdrowiu.

Napoje bywają ciepłe, zimne i zamrożone. Wino francuskie trzyma pierwsze miejsce, bo zdrowe jest, pożywne i łatwe do strawienia; limonady, orszady i t. p. chociaż chłodzą pozornie, są przecież niestrawne i pobudzają poty; za najszkodliwsze zaś uważam lody, bo nie trzeba zapominać, że jak w spoczynku ciepłik żołądka podnosi się, tak przeciwnie w ruchu zmniejsza się, dodając mu więc zimna sztucznego, najłatwiej w jednej chwili spowodować przeziębienie tego organu.

Herbata, jakkolwiek u nas w używaniu, mało ma zalecających ją przysposobionych; drażni żołądek, to prawda, ale nie żywi; użyta z ciastami, dopomaga do ich strawienia, lecz znaczna ilość wody gorącej, obejmująca część rozpuszczonej herbaty, dopomaga potem, przyspiesza bieg krwi i osusza usta. Lepiej jej nie używać.

Szczególniej też zwrócić należy uwagę na odzież. Nie mówimy o ubraniu salonowym, bo nie mamy prawa narzucać mody kroju higienicznego; ale zdrowie wieleby zyskało na tym, gdybyśmy nie zapominali że go nam nie na jeden tylko potrzeba wieczór. Zasada ogólna higieniczna wracających z zabaw do domów powinna być ta: otulić się ubraniem jak najcieplejszym od stóp do głowy; kto zaś nie jedzie karetą lub krytym powozem, to w mieście lepiej niech wra-

ca piechotą jak w odkrytym powozie lub w sankach, mając, rozumie się, wzgląd na odległość miejsca.

Przypuszczamy, że osoby oddane zabawom dobrze zachowały w pamięci rady higieniczne które zaleciliśmy, i że wpłynęły one korzystnie na stan zdrowia. Pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad porą w której odbywają się zabawy. Zabawy nocne pozbawiają snu; sen regularny, nieprzerwany i ograniczony pewną liczbą godzin, równoważy straty żywotne każdodziennie. Jeżeli, z powodu zatrudnień swych i pracy, człowiek żyć musi kosztem całej ekonomii ciała, to sen pokrzepia jego siły, by nazajutrz równą działały mocą.

Noc bezsenność jest dla zdrowia niczym niepowetowaną stratą. Trudno przecież zmienić ten przeciw higieniczny zwyczaj bawienia się w nocy: lecz przynajmniej niech osoby wątłego zdrowia, słabego wzroku i delikatne nie zapominają, że bezsenność jest dla nich najzjadliwszą trucizną.

S. p. Hoffmanowa, zakończając ustęp o zabawach w dziele wielce szacownem *O powinnościach kobiet*, tak się wyraża: „Gromadźmy tylko koło siebie w biegu potocznego życia zatrudnienia, rozrywki, z małych rzeczy róbmy sobie przyjemności, nie brońmy sobie niewinnych gustów, a nie będziemy szukać uciech nadzwyczajnych za domem. Uciechy, zabawy mało są potrzebne do szczęścia, kiedy kto szczęście posiada.“

## AMBICJA.

HUMORESKA

Władysława Maleszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Radość zaległa dworek przed chwilą tak posmutniały, wszyscy się cieszyli, wszyscy byli zajęci jutrzejszym tryumfem Teodora, on jeden tylko drżał na wspomnienie, że jutro stanie obok mistrza!

Andzia już prała tiuliki, które miały jej zastąpić wszystkie perły, brylanty i złoto, chciała być jutro piękną i nie traciła nadziei, chociaż w swojej szkatulce nie miała żadnej drogocennej ozdoby, chociaż w całej jej garderobie nie było ani jednej jedwabnej sukienki. I Andzia, zwana w całym mieście ubogą dziewczyną, jutro pierwszy raz wystąpi na balu, i skromniutko ubrana, nie zleknie się stanąć obok atlasów i złota, nie zleknie się, bo będzie miała z sobą skarb jedyny a najdroższy: dziewicze, czyste serce.

Pani kapitanowa zakrzętała się w kuchni, kazała zabić dwa kapłony, nastawiła kawę, i napiekła wafelków, bo chciała paradnie przyjąć i uczęstować znakomitego gościa. A stara Marcyanna zajęta była czyszczeniem sukni Teodora, wymywała plamki, wyskrobywała najmniejszy pyłek i ciągle wyrzekała na artystów, którzy podług niej byliby najzacniejszych ludźmi w świecie, gdyby tylko nie plamili sukien i tak prędko nie brudzili koszul. Chociaż zajęta czyszczeniem, co chwila wybiegała na ulicę, wyglądając upragnionego mistrza, niecierpliwiła się ogromnie i już w myśli układała projekt, że Teodora umyje, ubierze i za rękę poprowadzi do hotelu...

\* \* \*

Już salony hotelowe urządzone były na koncert i bal, a do kasy koncertanta szturmowano od południa, bo termin tylko do jutra z rana, bo biletów mało co zostało, a każdy pragnął być uczestnikiem wielkiej muzycznej uroczystości, wszyscy chcieli zdobyć najpiękniejsze miejsca.

W massie prostych ławek i stołków, oznaczonych numerami, obitych zieloną kitajką, były tylko trzy fotele ze sprężynami, każdy z nich obity innego koloru wypłowiałym aksamitem; w każdym połowa sprężyn była połamaną, a na jednym tylko złociła się korona o kilkunastu jabłkach. Wielkie wspomnienia, podług tradycy mieszkańców miasta, do nich się łączyły: na jednym siadywał zawsze sam gubernator, gdy wizytował miasto, drugi pochodził z pałacu jakiegoś udzielnego księcia, a trzeci powleczone był aksamitem, wyciętym z kołdry samego Liszta; w tych więc fotelach całe dygnitarstwo miasta, jako wtajemniczone w świetną ich przeszłość, pragnęło siedzieć podczas koncertu, i w tym celu rozpoczęło między sobą zajadłą walkę. Każdy czuł się w prawie być pierwszym, każdemu ambicja szeptała: nie daj się

poniżyć w tak świętej sprawie! Opadli kasę i z boleścią dowiedzieli się, że już dwa pierwsze numera posłane były na wieś dla hrabiny, znakomitej artystki-amatorki, a pozostał tylko fotel ze złotą koroną. Rodziny więc, straciwszy nadzieję opanowania wszystkich miejsc kurulnych, postanowiły za jakąbądź cenę otrzymać Nr. 5 i na niem uplasować swoje jedyne ozdoby, najpiękniejsze córki, a myśl że się usiądzie obok hrabiny, da się poznać uczonemu kobiecie, że będzie sposobność zawiązać artystyczną konwersacją i wygłaszać swoje widzimisię o grze koncertanta, dawała zapału tej prowincjonalnej walce.

Największe prawo do Nr. 5 rościła sobie rodzina pana Chapkiewicza, sekretarza powiatu, a tymczasowo pełniącego obowiązki naczelnika. Córka przemożnego urzędnika grała, według jej własnej opinii, znakomicie na fortepianie, była nawet pewną, że koncertant jeśli nie ją, to nikogo nie wezwie do współudziału, wprost więc zapowiedziała ojcu, że albo zajmie miejsce na scenie, albo w fotelu ze sprężynami, albo wcale nie pójdzie na koncert. Ojciec swój najdroższej Abissynii, (imię panny chrzczonej w katolickim kościele), nie mógł niczego odmówić, a pewny że żaden z jego tymczasowych podwładnych nie będzie śmiał z nim się współubięgać, powolnym, dygnitar-skim krokiem poszedł do mieszkania kassjera, prosił o Nr. 5 i o dwa numera conajbliższe fotelów, a otrzymawszy to wszystko bez żadnej trudności, a podniesioną wiarą w swoją powagę, powrócił do domu.

Familia Chapkiewiczów miała silnego rywala w familli Wysokonoskich. Pan ten, chociaż niższy urzędem od swojego kolegi, ale mając żonę z domu baronów Struclów, nie pozwoliłby za nic świecie, aby jakaś tam parweniuszka, córka kupca z Krakowa, miała tak w publicznym miejscu wziąć górę nad szlachetną krwią jego małżonki; nadto miał córkę imieniem Melania, która, chociaż wcale nie grała na fortepianie, ale wojażując nad Renem, przejeżdżając przez Drezno, nocując w Berlinie i w Wrocławiu, podziwiając balony i baloniarzy, nabrała znakomitego gustu do muzyki, potrzebowała więc być conajbliższym koncertanta, aby go należycie ocenić. Pan Wysokonoski milczkiem, zaułkami, wcisnął się do mieszkania kassjera, i widząc że już się spóźnił, z rozpaczą zaklął go aby jego prośbie nie odmówił. Kassjer oczywiście tłumaczył się że nie może w żaden sposób mu dogodzić, lecz gdy urzędnik zaczął nalegać, błagać, przekładać, że fotel jest bardzo szeroki, a panienci nadzwyczaj szczupłe w obwodzie, więc mogą razem, jako dobre przyjaciółki, w nim się pomieścić, kassjer wzruszył ramionami i ulegając prośbom, wydał drugi bilet na jedno i toż samo miejsce.

Lecz i rodzina państwa Drapalskich nie myślała ustąpić z placu. Pan Cypryan Drapalski, był to sobie poczciwy i cichy człowieczek, ale miał żonę, której się bał jak ognia, miał córkę, którą kochał nad życie; sam był najmłodszym urzędnikiem w powiecie, ale żona była Warszawianka, kobieta niegdyś bardzo ładna i z tego powodu czująca się w prawie aby gustem, nauką i tonem przewodniczyć ciemnym mieszkancom parafii; córka zaś, panna Oksyilia, miała wrodzony talent do poezji, o rym nigdy się nie troszczyła, bo sam przychodził, o myśl, której nie miała przyjemności poznać, nigdy się nie pytała. Państwo Drapalscy wpadli do kassy już po Chapkiewiczu i Wysokonoskim; kassjer ani chciał słuchać, wręcz odmówił. Prosił ojciec, nic, błagała matka, nic; wrozpaczy więc sama panna Oksyilia ustroiła się najpiękniej, i pewna że poetce nikt niczego odmówić nie może, wyszła na połów Nru 5.

Podczas tego gdy panna Oksyilia szturmuje do serca kassjera, w domu państwa Drapalskich wszyscy w największym ruchu, wszędzie porozkładane suknie, tiule, koronki, wstążki i licho wie jakie fatałaszk; dwie szwaczki szyją w tylnym pokoju jakieś arabskie, czerwone okrycie, którym panna Drapalska ma się odziać podczas swego improwizacji, ułożonej na cześć mistrza; dzieciaki biegają po pokojach, wrzeszczą na całe gardło, że już dawno po dwunastej, że im głód dokucza a obiadu ani widać; pan Cypryan chodzi wzdłuż i wszerz saloniku, kiwa głową i paląc fajkę, oszukuje łakomy żołądek, a pani Drapalska kończy przyszywać ostatnią haftkę do białej, morowej sukni, głaszcze dzieciaki, męża pieści słowem, napędza szwaczki, a kucharce każe pędzić

do kramiku, po dwa tuziny guziczków z perłowej macicy.

Pan Cypryan, usłyszawszy ostatnie polecenie żony, zatrzymał się na środku pokoju, od ust odjął fajkę i szeroką dłonią gładząc gestą, najeżoną czuprynę, rzekł z serdecznym westchnieniem:

— Lubko, znowu po coś posyłasz, a ja klnę ci się na Boga, że i za trzy lata nie będę mógł spłacić tych długów, któreście narobiły na ten przeklęty koncert.

— Cyprysiu, odrzekła żona, zwracając się do męża ze słodyczą w oku a z igłą w ręku, czyż chcesz aby dla dwóch tuzinów guziczków zesześcić cały ubiór? Nie znasz się na naszych strojach, więc czekaj cierpliwie, a zobaczysz jak nasza Oksia prześlicznie w nich będzie wyglądać. Ona zachwyci wszystkich, a panna Abissynia, naczelnikówna tymczasowa, pęknie ze złości gdy zobaczy, że nietylko ona jedna ma suknię z lyońskiej, białej mory.

— I żeby to się choć na co zdało?

— Zda się, moja duszko, mówiła żona gładząc pana Cypryana pod brodę, Oksia wejdzie w świat większy, zapozna się z hrabiną oto, i zaimprovizuje, ktoś o niej napisze w gazetach, imię nasze rozejdzie się po świecie; potrzeba tylko aby dziś zajęła pierwsze miejsce, aby upokorzyła przemądrzałą Abissynię.

— A ja myślałbym, że lepiej jej ustąpić, nie zdzierać z Chapkiewiczem; gdyby chciał, mógłby mnie zgubić.

— Czegoż ty się obawiasz?

— Jakto się nie mam obawiać? trwożliwym głosem przemówił pan Cypryan, obejrzał się wokoło, aby szwaczki z drugiego pokoju nie słyszały, i po cichu domówił: A szacherka o blachę? Żyd dostawił tylko 1000 arkuszy, a ja wydałem mu świadectwo na 1100; zapłacił, to prawda, ale jak ja wybrnę z tego interesu?

— Wstyż się, trzeba być mężczyzną a nie babą. Żydek z którym zrobiłeś interes nic nikomu nie powie; poczciwy izraelita za miesiąc resztę blachy dostawi, i nikomu krzywdy nie będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

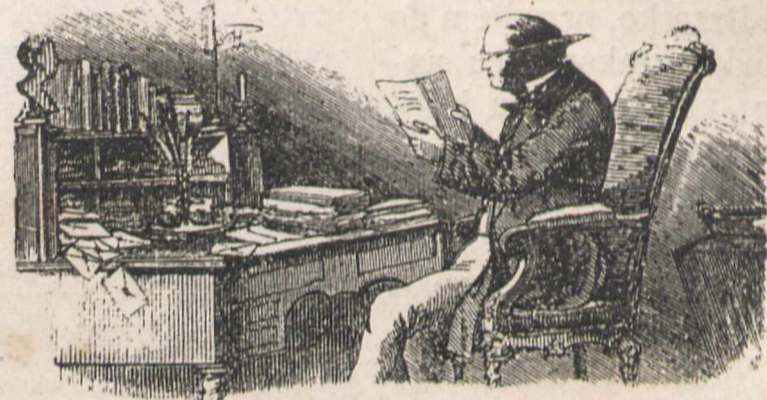
Gazety nasze wspominały już o usiłowaniach barona Gablenza (w Dreźnie), mających na celu zaprowadzenie *uniwersalnego języka piśmiennego* (Pasigrafii) i *dźwiękowego* (Pasifonii), a tym samym usunięciu niezmiernych trudności zachodzących dotąd w stosunkach duchowych i materialnych obcych sobie mową narodów. Obecnie wycytujemy niektóre ciekawe szczegóły o ważnym tym, jak się zdaje, wynalazku, z listu pisanego do krewnych w Warszawie przez młodego ziomka naszego, p. Józefa Gerszewskiego; pospieszamy więc podać je do wiadomości naszych czytelników.

Pan Gerszewski, zbliżony okolicznościami do wynalazcy tej metody, poznał ją gruntownie i sam pracuje nad podciągnięciem pod jej prawa języka polskiego. Donosi on, że baron Gablenz zastosował już lub zastosować zamierza swój system do *trzydziestu trzech* różnych języków, zaczynając naturalnie od niemieckiego. W tym celu wydaje zeszytami w Lipsku dzieło p. t. *Urywki językoznawstwa* (Sprachwissenschaftliche Fragmente), tudzież od nowego roku 1860 pismo tygodniowe, poświęcone wyłącznie wykładowi swjej nauki. *Pasigrafia*, czyli, jak wynalazca przezwiał ją od własnego nazwiska, *Gavlensografia*, za pomocą umyślnie ku temu obmyślonych znaków drukarskich, podaje ludziom wszelkich narodowości możność i nieomylnie prawidłą dobrego czytania i wymawiania każdego obcego języka.

„ Skoro więc, pisze p. Gerszewski, różni krajowcy z tym pismem w swoim własnym języku się obznajmą i przekonają się że sami, bez nauczyciela, są w stanie tym alfabetem inne języki dobrze czytać, to też nietrudno im będzie za pomocą tegoż alfabetu pojąć nasze metody i nowego języka naszego się nauczyć. Jak dziwną rzecz ta nieobznajmionemu na pierwsze spojrzenie się wydaje, tak łatwą i pojedynczą jest dla każdego, który, jak ja, miał sposobność znakomity ten wynalazek nietylko podziwiać, ale i z gruntu poznać. Gazeta więc nasza ważną jest dla wszystkich ludzi ukształconych, albowiem w niej dany będzie klucz do ogólnego języka najprzód dla Niemców, później dla Francuzów, Anglików, Rossyan, Polaków i t. d.“

O ile nam wiadomo, komis tej ciekawej publikacji powierzony został w Warszawie pp. Gebethnerowi i spółce. Gazety niemieckie pełne są pochwał dla wynalazku barona Gablenza i spodziewają się po nim nowej ery w dziejach oświaty ludzkości. Czy te marzenia sprawdzą się choć w części, czy wielkie zadanie nad którym nadaremnie pracowali: z Francuzów Sicard, z Anglików Wilkins, z Niemców Leibnitz i Wolke, a z Węgrów niedawno Kalmar, któremu nie

podobały dotąd ani kongresy, ani umyślnie w tym celu założone towarzystwo w Paryżu, — zostało rozwiązaniem lub nie? — to czas najlepiej okaże. My tutaj, nie przesądając, notujemy tylko fakt, tém dla nas ciekawszy, że współpracownikiem wynalazcy jest nasz ziomek, zdanie zaś o wartości tego systemu należy do filologów.



Pana A. K. w Warszawie upraszamy o nadesłanie wymienionej w liście Jego gawędy.

Panu S. w L. Z nadesłanych poezji, odznaczających się siłą myśli, obok zaniedbania formy, jedna wkrótce zapewne, z małemi zmianami, ukaże się w szpaltach Tygodnika.

Panu J. w Warszawie. Rozprawka Pańska nie rozwiązuje bynajmniej pytania: co robić z kobietą już nie kochaną, która kocha cię jeszcze? Oddać jej rękę bez serca, znaczyłoby to, jak słusznie powiedziała Gabryela, zamiast jednej zrobić trójce nieszczęśliwych

Panu F. S. z Wielkopolski dziękujemy najuprzejmiej za pięknie i z serca napisane *Obrazy*. Szkice podobnego rodzaju chętnie zawsze umieszczamy w naszym piśmie.

Panom Fr. Cz. z powiatu brzeskiego, F. S. w Lublinie i S. R. w Warszawie Otrzymanych wierszy i rebusów drukować nie możemy.

Panu A. Ży. w Kaliszu. Powieści tłumaczonych nie przyjmujemy; rebus może się przydać.

Z pomiędzy wielu ciekawych korespondencyj, jakie nieraz odbierać nam się zdarza, otrzymaliśmy w tych dniach jedną, podpisaną głoskami K. T. *Zycielwy*, jak sam się nazywa, prenumerator narzeka na niedbalstwo w wydawnictwie Tygodnika, a szczególnie na to, że egzemplarze nie są prassowane. Otóż mamy sobie za prawdziwą przyjemność objaśnić p. K. T., że nietylko nasza, ale żadna na świecie *Illustracya* prassowana nie jest i być nie może; inaczej bowiem szanowni prenumerotorowie zamiast jednego rysunku, odbieraliby dwa *jeden na drugim*, albo też z parę tygodni poczekaćby musieli. Smutną przepowiednią, już raz w listopadzie r. z. przez tego samego, jak się zdaje, korespondenta uczynioną, dotychczas nie sprawdziła się, a mamy niepłonną nadzieję, że i nadal się nie sprawdzi.

## HEBDÓW.

W najpiękniejszej, górzystej okolicy krakowskiej, poprzerzynanej roskosznymi dolinami bujną roślinnością okrytymi, pomiędzy wsią prywatną Starém Brzeskiem, a miastem rządowym Nowém Brzeskiem, nad samym Wisły brzegiem, leży wieś poduchowna Hebdów, gdzie z daleka widzialny, wznosi się starożytny kościół murowany i zabudowania klasztorne, które na drugostronnym drzeworycie przedstawiamy. Było tu niegdyś sławne opactwo kanoników regularnych premonstratenskich, zwykle Norbertanami zwanych, którego założenie dotąd powszechnie przypisują Iwonowi Odrowążowi, biskupowi krakowskiemu, około roku 1240. Podanie to jednak jest mylne, jak to dowodnie okazał Antoni Kraszewski, opat witowski tegoż zakonu, w historii całego zgromadzenia w r. 1752 drukim, ogłoszonej. Tak atoli utrzymywał Kromer, tudzież Starowolski w żywotach biskupów krakowskich i inni, a za niemi poszli nasi nowocześni pisarze. Przeciwno temu świadczyły przeciw dokumenta hebdowskie dawniejsze przed czasem Iwona, jakie Kraszewski miał w ręku, i dostatecznie przekonywały, że był on dobrodziejem klasztoru, a nie fundatorem. Albowiem Iwo, który biskupstwo otrzymał roku 1220, a umarł roku 1234, tylko znacznymi dochodami opatrzył Hebdów, przedtem szczupłe od Bolesława Kędzierzawego uposażony. Okoliczność więc ta dała powód, że hojnemu biskupowi sławę założyciela niesłusznie przyznano. Tenże sam historyk powiada, że za jego czasów istniała w archiwum miejscowym bulla papieża Eugeniusza IV, w roku 1442 dawne dyplomata ponawiająca, która porządek fundacji zaczynała od Bolesława Kędzierzawego. Co więcej, była tam wzmianka, że za pozwoleniem tegoż monarchy niejaicy Strzeżysław i Wrociśław wystawili rzeczony kościół i klasztor, i pierwsze wsie oraz folwarki mu nadali, zakonników zaś sprowadzili z Pragi z strachowskiego klasztoru, na którą to pamiątkę od owego czasu zgromadzenie hebdowskie prawie do końca swego istnienia za ojca czcilo tamtejszego opata. Nie ulega przeto wątpliwości, że początek założenia kościoła i klasztoru w Hebdowie dawniejszej sięga epoki, niż dotąd było

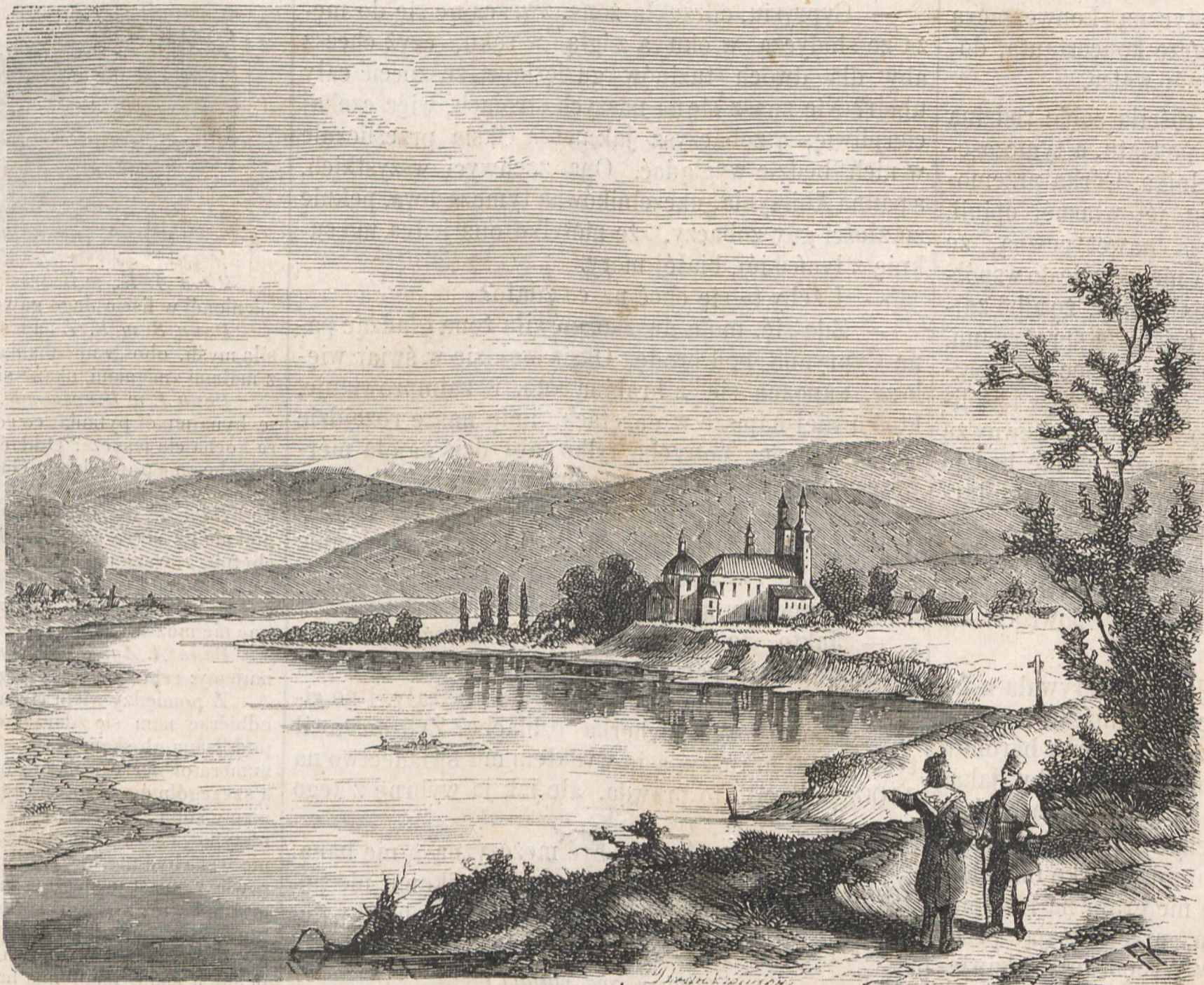
oznaczone. Ale mamy jeszcze jeden fakt do sprostowania. Autorowie Starożytniej Polski, znalazłszy w dokumentach miasta Nowego Brzeska wymienionego opata brzeskiego, wnieśli ztąd, jakoby Norbertanie byli tam poprzednio, a dopiero na początku XVI wieku do Hebdowa się przenieśli; co znowu jest zupełnie mylne, gdyż w przywiedzionych dokumentach powiedzianem jest wyraźnie, że biskup Iwo w r. 1223 osadę Nowe Brzesko, przedtem do biskupów krakowskich należąca, zgromadzeniu księży Norbertanów w Hebdowie darował, ale ich tam nie fundował. Floryan zaś, opat tegoż zgromadzenia, w roku 1279 zamienił ją na miasto. Niema więc żadnego śladu, aby kiedyś opactwo w Brzesku istniało, owzem nigdy takowe z Hebdowa się nie przenosiło. Wprawdzie jeszcze za czasów Kraszewskiego tradycya miejscowa i dawne rękopisma świadczyły, iż wtedy w trzecim już miejscu po fundacyi stał klasztor hebdowski, częścią z powodu niewygodnego przedtem położenia, częścią dla Wisły podrywającej brzegi, i ostatecznie na terazniejsze bezpieczniejsze miejsce był przestawiony, zawsze jednak nigdzie indziej, jak w Hebdowie. Z przyczyny owych częstych przenosin, tudzież gdy w pierwszej połowie XVII wieku spalił się do szczytu od pioruna, o czem Kochowski w Klimakterach wspomina, zniknęły ślady poprzednich dziejów opactwa i kościoła, przeto i wyżej przytoczony jego historyk, w następnym wieku piszący, niewiele mógł o nim opowiedzieć.

Pomiędzy innymi kłeskami, które budowle tę w późniejszych czasach dotknęły, najpamiętniejszym był pożar roku 1792. Spalił się wtedy dach kościoła i klasztoru, oraz szczyty wież i wiązania, a piękne dzwony się stopiły. Z tego powodu budowla ta, acz starożytna, niemal całkiem dawny swój charakter straciła. Dachy i wieże odbudowali Norbertanie, sprawili także dzwony, ale tych przed supresją nie zdą-

żyli na wieżę zaciągnąć i dlatego do dziś dnia bez użytku leżą w kościele. Była to świątynia wspaniała, pełna ozdób i bogactwa. Wewnątrz znajdowały się grobowce szlacheckiej rodziny Otwinowskich, pomiędzy którymi najokazalszy był nagrobek Mikołaja Otwinowskiego, męża zasłużonego ojczyźnie orężem i radą. Po skassowaniu zgromadzenia w r. 1819 w kościele służbę Bożą odprawiali pozostali przy nim

Do czasów Kraszewskiego kroniki klasztorne liczyły 38 opatów, ludzi godnych, których światu polskiemu zalecała świątobliwość, wysoki rozum i niepospolita umiejętność w rzeczach świeckich i duchownych. Pomiędzy niemi byli: Melchior Olszewski, sekretarz króla Zygmunta Augusta; Jordan z Zakliczyna, człowiek wielkiego rozumu i bardzo bogaty; Gotard Tyzenhausen, co później został biskupem smoleńskim,

Janowi Kaźmirzowi bardzo przyjemny i dobrze zasłużony; Ludwik Stępkowski, który dla niepospolitych zdolności z opactwa postąpił na biskupstwo kamienieckie; Erazm Kretkowski; Aleksander Trzebiński, podkanclerzy koronny za Władysława IV; Tomasz Leżeński, potem biskup łucki; Michał Wilkowski, któremu niejednokrotnie godność biskupią ofiarowano, lecz on, poprzestając na swoim powołaniu, zawsze za nią dziękował. Znany nauką założyciel sławnej biblioteki w Warszawie, Józef Jędrzej Załuski, był także opatem hebdowskim; Józef Łaszcz od roku 1748 i zaraz po nim Franciszek Borowski, Krzysztof Dobiński, sufragan łowicki od r. 1753 do 1760. Smutnej pamięci kanclerz Młodziejowski, biskup poznański, był także od r. 1771 tutejszym opatem. Uczony i cnotliwy Karol Wyrwicz ex-jezuita, od r. 1780 do 1791 ostatni komendataryjny opat. Ale po nim byli jeszcze mianowani Ignacy



HEBDÓW.

(Rysował Kostrzewski, rytował Drażkiewicz w Warszawie.)

księża, a po roku 1832 przeniesiono do niego parafię ze starego Brzeska. W klasztorze tutejszym była niegdyś jedna z najznakniejszych bibliotek zakonnych w Polsce, w rzadkie druki i rękopisma obfityjąca. Zaglądali do niej Czacki, Ossoliński, Świdziński i co było lepszego wcześniej z niej wyłowili, resztę przewieziono do Warszawy.

Opactwo hebdowskie należało do bogatszych w dawnym województwie krakowskim, ubiegali się też o nie pierwsi dygnitarze duchowni, a niejeden znakomity mąż był tutejszym opatem.

Pokubiatto od roku 1791, Grzegorz Zacharyasiewicz, sufragan łowicki do roku 1813. W końcu nosił podobno jeszcze ten tytuł przed kilkanastu laty do swojej śmierci ks. Bystrzanowski, dziekan katedralny krakowski.

Dziś po wielu tych dostojnikach za ledwo głucha pamięć w dziejach pozostała, a wspaniałe i świetne niegdyś gmachy kościoła i klasztoru, zamieniły się w ciche ustronie, które pięknym swym położeniem może zwabić ciekawego wędrowca i przekonać go o znikomości rzeczy ludzkich.

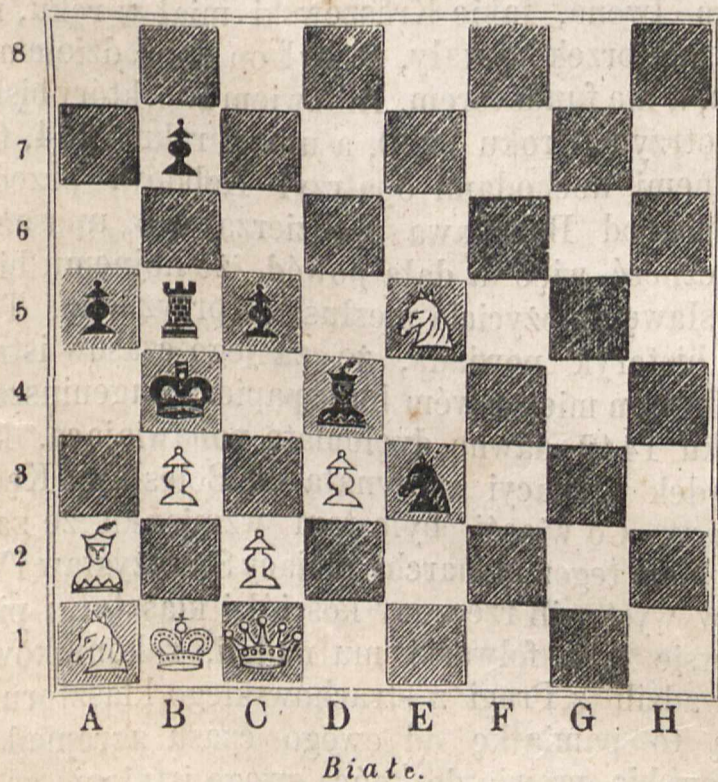
**SZACHY.**

## ZADANIE XV.

(B. R. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Szarada ukryta w szachownicy w Nrze 20 Tygodnika jest następująca:

Pierwszy płynie w ciepłym kraju,  
Co ma niebo jakby w raju.  
Druga trzecia jest osłoną  
Istot leśnych i ochroną.  
Pierwsza trzecia różną bywa.  
Trzeci wspak, gdy się używa,  
Miary Francji przypomina.  
Wszystko zdoła chrześciana.

Znaczenie jój: Po-ko-ra.

Jednocześnie prawie przyniesiono dwa dobre rozwiązania. Gdy jednak przybyły drugi z kolei, młody J. Cz., uczeń kl. IV gimnazjum gubernialnego w Warszawie, lepiej na zadawane sobie pytania odpowiadał, przeto jemu przyznana została nagroda w książkach wartości rs. 5, dwóch zaś następujących po nim otrzymało premia mniejszej wartości.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 20.

Kto gmachy stawia, tego dzieje mularze kielniami piszą.

**REBUS.**